



Jan Němec

historia światła

Powieść
o fotografii
Františku
Drtikolu

Katarzyna Bańka



Fot. Maciej Przepiórka

Z wykształcenia bohemistka i fotografka. Mieszka w Warszawie. Od wielu lat pracuje jako tłumaczka oraz menedżerka kultury. *Historia światła* to jej pierwsze tłumaczenie literackie. Pasjonuje się ceramiką.

Jan Němec
historia
światła

Powieść
o fotografii
Františku
Drtikolu

Przełożyła
Katarzyna Bańka



Wrocław 2017

Tytuł oryginału czeskiego: *Dějiny světla*

Redakcja: Małgorzata Pasicka-Siekanka

Korekta: Małgorzata Wiśniowska-Deluga, Agnieszka Radtke

Projekt okładki:

Magdalena Kocińska | O!Studio, o-studio-dtp.com

Projekt układu typograficznego:

Wioletta Kowalska | Violet Design, violetdesign.pl

© Jan Němec, 2013

© Host – vydavatelství, s.r.o., 2013

© for the Polish translation by Katarzyna Bańka, 2016

© for the Polish edition by Książkowe Klimaty

Tłumaczenie niniejszej publikacji zostało dofinansowane przez
Ministerstwo Kultury Republiki Czeskiej



Książkę wydrukowano na papierze Antalis, Ecco book 75 Cream
vol. 2.0 70g/m2

ISBN: 978-83-64887-32-1

moim nauczycielom



Miłuję jedną rzecz, a nie wiem, czym jest wcale:
Dlatego zaś, że nie wiem, tym chętniej ją wybrałem¹.

ANGELUS SILESIVS

¹ Angelus Silesius, *Cherubinowy wędrowiec*, Opole–Warszawa 2003, s. 23 [o ile nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumaczki].



Do diabła z pierwszą osobą.

SAMUEL BECKETT



PROLOG

Dzień przed tym, kiedy to się stanie, siedzisz przy stole w górniczej chałupie na obrzeżach Przybramnia. Po drugiej stronie izby stoi biały kredens z obtłuczonym fajansem i stara malowana szafa. Na ścianie wisi święty obrazek, błogosławieństwo i drewniany krzyż z dwóch deszczulek przewiązanych zardzewiałym drutem. Płachty prania rozciągnięte na sznurze nad piecem przypominają raczej szmaty do podłogi, choć podłoga potrzebuje przede wszystkim łatania: spod desek słychać chrobot myszy i innych tworów kryjących się w szczelinach, zakamarkach i kątach. Na oparciu krzesła wisi przepocony roboczy szachciok, a na nim poplamiona skórzana łata.

Patrzycie z Hynkiem na śpiącego, który te rzeczy tam odłożył, i w skupieniu przesyłacie mu polecenie, niech się w końcu obudzi. Przewraca się na sieniaku, z którego wystają pociemniałe źdźbła, i ciężko oddycha.

Hynek cicho gwizdże, ale jego tato ani drgnie.

Niedokończony model kopalni piętrzy się na półce na wyciągnięcie ręki, jednak kiedy jesteście sami, nie wolno wam go nawet dotknąć. Hynek po chwili nie może już wytrzymać, sięga bodaj po dwie gliniane figurki, po dwóch z lekka rozpadających się odmieńców, którzy poniewierają się z boku. Jednego podsuwa tobie, ostrożnie chwytasz figurkę pomiędzy kciuk i palec wskazujący i nachylasz się w stronę Hynka: Byłeś kiedy w srebrnym mieście?, szepczesz jej ustami. Pod srebrną bramą?

Prowadzi tam tylko jedna sztolnia, a tej pilnuje święty Prokop z diabłem na łańcuchu. Ale ja znam hasło – szepcze Hynek, trzymając w rękach drugiego mizerotę.

To powiedz.

Cosi tam szeptacie, łobuzy?, odzywa się głos z rogu pokoju.

A Hynek aż kraśniej z radości: Ojczy, już nie śpicie?

12 Do pieruna jasnego, toć tu się da?, mężczyzna siada na łóżku. A synek sklepikarza znów u nas? – Drapie się żylastymi rękami po kosmatej piersi. – No, każda ręka dobra, ale obiad masz u was...

Hynek biegnie po konew z wodą, a ojciec obryzguje twarz tak gwałtownie, że zalewa nawet niebieloną ścianę za swoimi plecami. Przeciąga się i z wysiłkiem podchodzi do stołu, podnosi szachciok z krzesła i rzuca go na łóżko. Siada i rozgląda się wokół, jakby te sprzęty widział pierwszy raz albo jakby wcześniej musiał upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu. Jest, wszystko trwa w mroku i od-

wzajemnia spojrzenie zaspanego gospodarza: obrazek Bogurodzicy, wyszywanka, garnek i kalendarz, przy jednej stołowej nodze przycupnął śpiący kot, przy drugiej trochę mniej wynędzniała bryła gliny. Po chwili tato Hynka podnosi glinę, stawia ją na porysowanym blacie stołu i zwilża wodą.

Wszyscy ludzie z gliny powstali i z gliny stworzony był Adam, recytuje. Wykonuje znak krzyża, zapala lampę oliwną i dodaje: Trzeba ich jeszcze tak z dziesięciu, dwunastu.

Potem idzie wysikać się na dwór.

W izbie panuje mrok, choć dopiero wybiło południe, okna są małe, ale ważniejsze od światła jest zachowanie ciepła. Gлина łatwo poddaje się palcom, jest mokra, czasami przyciąga odblask płomienia, który ty starasz się jak najszybciej wgnieść do środka. Formowanie figurek idzie ci nieco lepiej niż Hynkowi, bierzesz do ręki kawałek gliny, w dłoniach toczysz z niego wałeczek, z którym później pracujesz. Tato Hynka czasami cię naprowadza i nawet po tym można poznać, że bierze cię za tego zdolniejszego, po Hynku ciągle coś musi poprawiać i właściwie nic do niego nie mówi. Pracujesz małym nożykiem o sfatygowanej rękojeści, ostrzem oddzielasz ręce od tułowia i rozdzielasz nogi, jeden z hawierzy ma stać w szerokim rozkroku, aby porządnie mógł wbić się w skałę, to rębacz; dozorca z założonymi rękami stoi zwyczajnie obok, jeszcze kolejny czeka aż mu nałożą wózek, to wozak o umięśnionych nogach.

Jak szkoła?, pyta ojciec Hynka.

Frąño siedział w kozie.

Nie pytam o niego, ale o ciebie.

To było niesprawiedliwe, ciągnie po swojemu Hynek.

Hynek umiał, mówisz i starasz się odwrócić wzrok od zdeformowanego kciuka z odkształconym paznokciem, spod którego ojciec Hynka właśnie wydłubuje brud.

W końcu model kopalni wędruje z półki na stół. Klękasz na krześle, żeby widzieć lepiej, pochylasz się, a rant stołu wciska ci się między zebra.

Model ma kilka pięter i w sumie tęgo ponad metr. Wygląda jak jakaś podziurawiona góra albo oberwane osie gniazdo, żeby zobaczyć, że faktycznie wznosi się tu model kopalni, wywróconej niejako do góry nogami, potrzeba odrobiny wyobraźni. Na jarmarkach i pielgrzymkach na Świętą Górę trafiają się dużo bardziej dopracowane okazy, z drewnianymi, starannie rzeźbionymi figurkami i przeróżnymi mechanicznymi trybikami, które zręcznie pokazują pracę kopalni, miejscowi mistrzowie niezłe sobie na tym dorabiają. Ale i w modelu taty Hynka hawierze sterczący na poszczególnych poziomach mają piękne uniformy, a w głównym chodniku widać błyszczące szyny zrobione z dwóch drucików. Na zewnątrz sterczą wciśnięte w glinę kamienie, kawałki krzemienia, błyszcząca mika i oczywiście ruda srebra, sól tej ziemi. Z góry wiedzie szyb główny a w nim kilka deszczulek trochę nieudolnie imituje wyciąg i szolę; wyciąg wygląda raczej jak zwyczajna drabinka. Ale to, co zwróci uwagę każdego, to twarze górników pomalowane żółtą farbą, która tym

mężom głębin nadaje poniekąd pozaziemski wyraz, podobny do tego, jaki mają święci na naiwnych obrazach. To nie przypadek, twórcy kopalnianych modeli wszystkiego nauczyli się od twórców bożonarodzeniowych szopek, czasami nawet figurkę górnika albo pielgrzyma przenosi się z miejsca na miejsce, bo potrzebna jest pomoc w Betlejem albo na szychcie.

Dzień przed tym, kiedy to się stanie, tato Hynka dostawia jeszcze w wolnych miejscach kilku homunkulusów i odchrząkując, coś jeszcze poprawia. Później wyciąga z pieca dwukilowy bochen chleba, a w jego miejsce ładuje tę szychtę, którą ulepiliście.

Jakżem spał, szeptaliście o srebrnym mieście, wspomina. No to skoczcie po piwo...

W tej części Przybramia kulą się nędzne górnicze chałupy, niekiedy wręcz rudery, od jednej do drugiej wiedzie błotnista droga z pasem trawy przez środek, śmierdzi tu zwierzyną i pomyjami. Górnicy, którzy jak tato Hynka robili na dziennej szychcie, wyłazą na przyzby, kopcą, coś dłubią, ich żony karmią obok dzieciaki albo kroją kartofle do kociołka, włosy lepią im się do czoła, wokół węszą psy.

Jest koniec maja, po drodze kopiecie dmuchawce, ich puchate główki rozsypują się na wszystkie strony.

W gospodzie opieracie brody o wysoki kontuar, czujesz gorzki zapach zlewki i rozlanej piany. W buzi uwalnia ci się ostatni mleczny ząb, od rana bez przerw wciśkasz pod niego czubek języka, jak ryba, która próbuje dostać się pod kamień na dnie rzeki.

Po jednej stronie udało ci się odczepić już ząb od dziąsła, czujesz krew i zasysasz ją zmieszaną ze śliną. Goście wokół huczy, górnicy splukują kamienny pył z ust do żołądków, byleby cały nie dostał się do płuc, później po nocach w zadumie i bólu oddają go z moczem, stojąc pod potężnym niebem, ale ty czujesz tylko krwawo-słodkawą zawartość swoich ust.

W drodze powrotnej podpicie, ale i tato Hynka wam trochę odleje. Później opowiada o górnikach, którzy podobno dawno temu zaginęli, kiedy ze skał kilkaset metrów pod ziemią buchnęła woda i zamieniła chodniki w dzikie bystrzyny. A jednak cudownie przeżyli, byli bowiem bogobojni i gorliwie się modlili, a ich wspaniali potomkowie żyją nadal w srebrnym mieście głęboko pod ziemią. Kiedy czas się wypełni, wyjadą na powierzchnię i uzbrojeni w srebrne tarcze zostaną władcami świata.

16 Wszystko tam się tak błyszczy, że wystarczy jedna jedyna lampa olejna, żeby rozświetlić cały plac, mówi tato Hynka. A wszystkie konie mają tam srebrne kopyta, wykute w białym ogniu, które podzwaniają w galopie. A na jednym takim koniku, nie takim jak te nasze sterane chabety w kopalni, oślepienie przez ciemności, na jednym takim koniku jedzie srebrny książę, klik klak klik klak, a kiedy przejeżdża, każdy odwraca głowę. A ten książę musi założyć przedziewiałą zbroję i w niej wywalczyć złotą koronę...

Znasz tę historię na pamięć, ale z przyjemnością słuchasz jeszcze raz. U was w domu tych górniczych legend nikt nie traktuje poważnie, nawet sprośnych dowcipów o karłach nikt nie opowiada.

Ale skąd miałby wziąć złotą koronę?, jak zawsze pyta Hynek.

Musi przez tajną sztolnię dojść do złotego miasta, które leży jeszcze głębiej, i otrzymać ją od jego mieszkańców.

W duchu wyliczasz: Przybram, Březové Hory, Benešov, Praga, Wiedeń, srebrne miasto, złote miasto, Paryż, Petersburg...

Dzień przed tym, kiedy to się stanie, wyjmujecie figurki z pieca. Jesteś rozczarowany. Są popękane, okopcone, a niektóre mają zniekształcone twarze, wyglądają jak sychta po jakiejś podziemnej katastrofie, straceńcy wydobyli z głębin. Studzicie je w wodzie, ale nie zda się to na wiele, wybieracie trzy najlepsze, resztę tato Hynka chce wyrzucić do ognia. Trochę ci ich szkoda, jednego kocmołucha z popękaną nogą udaje ci się ocalić, ale dalszych sześciu kończy w płomieniach, są jeszcze wilgotni, aż zasyczy.

Swojego okopconego Adama pieczołowicie owijasz starą gazetą i ruszasz do domu. Po ulicy już chodzi latarnik, wleciesz się za nim z jednego krańca ulicy na drugi, lampy przed tobą zapalają się jak boje świetlne.

*

Na piątej godzinie lekcyjnej drzwi do klasy otwiera dyrektor. Kiwa głową na nauczyciela i odchrząkuje, ten podbiega do niego, z powagą słucha, a potem odsyła was do domów, nawet nie musicie kończyć pracy pisemnej. Dziewczęta z miejskiej szkoły dla panien grają na placu w klasy, kupcy pakują stoiska i odjeż-

dżają wozami. Cieszysz się, że wcześniej niż zazwyczaj wracasz do domu, mógłbyś jeszcze coś sobie kupić, tylko że za te trzy krajcary, które masz w kieszeni, dużo nie dostaniesz, no i starasz się zaoszczędzić. Opierasz się wszystkim pokusom i wleczesz się Prażską do domu. Ale zamiast wejść od razu na górę, zatrzymujesz się jeszcze w wielobranżowym sklepie taty. Są tu wielkie przeszklone witryny, których ojciec z radością dogląda, przed drzwiami piętrzą się wiklinowe koszyki, a inne towary wiszą na hakach.

Ojciec czyta właśnie „Horymíra”, właściwie mogłoby się wydawać, że czyta, w rzeczywistości od kilku godzin liczy, jak to możliwe, że sklep stale wykazuje niższy zysk, choć zwiększa się jego obrót. Na stronach przybramskiego tygodnika rozrywkowo-edukacyjnego notuje drobnym pismem i zapisuje sumy częściowe.

Posyła ci to swoje iskrzące spojrzenie, schyla się pod ladę i pyta: Z której ręki?

Wybierasz jedną, on nie chcąc cię niepotrzebnie dręczyć, dyskretnie podmienia, a przed tobą zjawia się nowusieńki koh-i-noor.

18

Ołówek jest długi i biały, a na jednym końcu ma gumkę. Takiego z gumką nigdy jeszcze nie widziałeś, chociaż w ołówkach ostatnio całkiem nieźle się orientujesz. Na białym lakierze zgrabnymi czarnymi literami napisano to zagadkowe słowo: koh-i-noor. Biegniesz na sklepowe zaplecze, tam zrzucasz szkolną torbę i z małego płóciennego woreczka wyciągasz metalową temperówkę. Po chwili zacznie się z niej rozwijać długa drewniana koronka, jak zawsze chcesz zaostrzyć ołówek za jednym razem, podobnie

jak mama, kiedy obiera kartofle, ale rzadko się to udaje, teraz też strużyna z białą oblamówką odrywa się w połowie i opada na ziemię.

Podsuwasz stół do małego zakurzonego okna, chcąc rysować w lepszym świetle. Z upodobaniem obracasz ołówek w palcach i patrzysz na jego czubek, ale on się nie kręci, złobisz językiem wokół obluzowanego zęba i przez chwilę myślisz, jak to możliwe, że grot ołówka się nie kręci, zastanawiasz się, czy nie zapytać o to ojca, który zna odpowiedzi na podobne pytania, i nawet cieszy się, kiedy go pytasz. Ale zanim się zdecydujesz, natrafiasz na inny, dużo ciekawszy problem: czy w graficie ołówka jest już wszystko to, co można nim narysować? Czy wystarczy to tylko w właściwym momencie przenieść na papier?

Jesteś pochłonięty swoimi myślami, dlatego sens zdania, które dobiegnie do ciebie ze sklepu, zrozumiesz z opóźnieniem: W Maryjnym szybie się pali.

Pali się? Jak to?

Potrzebujemy szybko watę, bandaże, jodoform, ocet, i jeśli pan ma, to jakieś gąbki do mycia.

Chwila, mówi ojciec, niech pan poczeka. To niemożliwe, od kiedy to skały płoną?

Obudowa, szanowny panie. Wszystko jest tam przecież z drewna. Cembrowanie szybu, drabinki, wyciąg, składowany materiał. Niby po co w kopalniach zatrudnia się cieślów? Szczerze mówiąc, pali im się jak jasny pieron... Wie pan gdzie.

Pod dupą, kończysz w duchu dla dziecięcej uciechy z wulgarnego słowa; podobają ci się wulgarne słowa, są zakazane, czasami skrycie je wypowiadasz

jedno za drugim i czekasz, aż coś się stanie. Ale na to teraz nie ma czasu. Podchodzisz kilka kroków w stronę drzwi, żeby sprawdzić, kto to właściwie przypętał się do sklepu. Przez szparę widzisz mężczyznę w mundurze straży ochotniczej, ocierającego sobie pot z czoła. Ojciec już chodzi po sklepie, układa towar na kontuarze i w międzyczasie dalej pyta: Poważnie to wygląda?

Jest tam cała popołudniowa szychta, mówi zasapany strażak, rozpinając guzik koszuli. Więcej niż ośmiuset hawierzy.

Ośmiuset?!

Strażak jedną ręką nerwowo owija wokół palca włosy wyzierające z rozchełstanej koszuli, drugą opiera się o ladę.

Niektórzy są na kilometr głęboko, a nad głowami mają porządną pożogę...

Bandaże się skończyły, mówi ojciec z poczuciem winy w głosie. Nie mają jak wyjechać?

20 Jest tam niezły zamęt, hajcuje się na kilku poziomach. Do tego w Maryjnym przepaliła się lina i maszyna wyciągu.

Ojciec kładzie na kontuarze pudełko wielkich gąbek do mycia i wzdycha: Na Boga.

Jeszcze ten ocet. Do kopalni nie da się wejść bez gąbki z octem w gębie.

Śledzisz tę rozmowę przez niedomknięte drzwi i zalewają cię emocje. Widzisz wieżę szybu, z której wydobywa się dym. Ten narysować łatwo, jest jak ruchy ręki pędzącej po papierze, a ty masz nieopanowaną chęć zamalować blok wielkimi obłoka-